# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 86·45 Marek, Półrocznie 172·90 Mk. Rocznie 345·80 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie.

Zmiana adresu 1 Markę.

**Ceny ogłoszeń:** za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

**Wychodzi każdej soboty.**

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 478.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

**W Warszawie do nabycia wszędzie.** **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 7 Marek.

Rok XVII. Kraków, 3. lipca 1920. Nr. 27.


# Zamach skazańca na przew. Trybunału



**Skazaniec w chwili rzucenia się na radcę Agatha.**

Pr. III. 32/20

Sąd okręgowy karny, jako prasowy, orzekł na wniosek Prokuratoryi po myśli § 493 p. k., że zamieszczona w Nrze 26 czasopisma peryodycznego czasowego „Nowości Illustrowane“ z daty: Kraków, dn. 26 czerwca 1920, ustęp artykułu pod tyt.: „Bochaterowie życiowej tragedyi“ w ustępie zaczynającym się od słów: „Zdanie publiczności kryminalnej“ a kończący słowami: „uszczęśliwi ją i siebie“ łącznie z tytułem, zawiera w całej swej osnowie znamiona występku z art. VIII ust. z dnia 17/12 1862 L. 8, Dz. u. p. ex 1863 — zakazuje się rozszerzania tego artykułu względnie inkryminowanego ustępu, zatwierdza się zarządzoną przez Prokuratoryę konfiskatę pomienionego numeru, a przytrzymane egzemplarze tego czasopisma mają być zniszczone, albowiem w artykule tym zawierającym sprawozdanie z rozprawy karnej, toczącej się przed sądem przysięgłych w Krakowie w dniu 17 i następnych czerwca b. r. przeciw Henrykowi Grodzkiemu i Zofii Taszyckiej a odroczonej do następnej kadencyi, roztrząsa autor moc środków dowodowych, stawia domniemania co do wyników procesu i w fałszywem świetle wyniki procesu omawia' przedstawiając obwinionych jako chore dusze, dla których miejsce nie za kratami więzienia, lecz w sanatoryum dla nerwowo chorych, przez co stara się wywierać wpływ na opinię publiczną, uprzedzający wyrok Sądu. Równocześnie poleca się Redakcyi czasopisma „Nowości Illustrowane“, aby tę uchwałę w najbliższym numerze czasopisma na pierwszej stronie, pod rygorem § 20 ust. pras. bezpłatnie zamieściła.

**Sąd okręgowy karny Senat III**

Kraków, dn. 28 czerwca 1920. Podpis nieczytelny.

## Zgon polskiego uczonego.

**Nauka polska, która zwłaszcza w czasie wojennym takie straty poniosła, ma znów do zanotowania ubytek jednej z sił i to pierwszorzędnego znaczenia o światowej sławie.**

**We Kwowie zmarł nagle w ubiegłym tygodniu dr Ludwik Rydygier, były profesor chirurgii na Uniwersytecie krakowskim i lwowskim, ostatnio generał lekarz armii polskiej i szef sanitarny DOG. na Pomorzu.**

**Do Lwowa przybył ś. p. Rydygier z Trzewa, gdzie obecnie stale zamieszkiwał w celu załatwienia interesów i sprzedaży swej małopolskiej posiadłości. W tym celu udał się do kancelaryi adwokata dra Löwencherza i tu go śmierć zaskoczyła.**

**Nazwisko ś. p. dra Rydygiera zapisało się chlubnie głoskami na kartach dziejów medycyny, zwłaszcza polskiej. Chirurg o światowej sławie, daleko poza granice rozniósł sławę polskiego imienia i polskiej nauki. Polakiem był zawsze bardzo dobrym. Pamiętamy jego oburzenie, gdy niektórzy z pacyentów w krakowskiej klinice chirurgicznej zwracali się doń w niemieckim języku.**

**Zawód swój miłował całą duszą, poświęcił mu też wszystkie swe siły, oddając się chirurgii tak teoretycznie jak praktycznie. Owocem tej pracy jego *Podręcznik chirurgii*, jedyne dzieło tego rodzaju w języku polskim, oraz cały szereg mniejszych i większych rozpraw, wydanych osobno i za-**




**Zgon polskiego uczonego:** Ludwik Rydygier, jenerał-lekarz, szef sanitarny pomorskiego D. O. G., b. prof. chirurgii Uniwersytetu krakowskiego i lwowskiego.

**mieszczonych w fachowych pismach krajowych i zagranicznych.**

**Był on także inicyatorem i gorliwym propagatorem idei dorocznych Zjazdów chirurgów polskich, odbywanych stale w Krakowie.**

**S. p. prof. dr Ludwik Rydygier urodził się w r. 1860 w Prusach Królewskich. Medycynę studyował w Berlinie i Strassburgu, specjalizując się w chirurgii, którą też wykładał najpierw na uniwersytecie w Jenie (1888-1890). W r. 1890 przeniósł się na stały pobyt do Chełmna, gdzie otworzył prywatną klinikę i kursy chirurgiczne, cieszące się zasłużonem uznaniem.**

**Ale niedługo danem Mu było tam przebywać. Uchwała grona profesorów krakowskiego Wydziału lekarskiego powołuje go na katedrę chirurgii w Jagiellońskiej Wszechnicy, gdzie też w ciągu swego pobytu rozwija nader owocną działalność jako lekarz i profesor, aby ją następnie przenieść do Lwowa, gdzie obejmuje pierwszą katedrę chirurgii na nowo kreowanym Wydziale lekarskim.**

**Na tym naukowym posterunku dotrwał prawie do końca, w latach wojny poświęcając się jako chirurg służbie wojskowej.**

**Nazwisko Rydygiera związane jest ściśle z dziejami polskiej nauki. Jego śmierć, to strata bolesna i trudna do powetowania.**

**Cześć pamięci polskiego uczonego!**

## Pod znakiem aprowizacyi.

**Do najbardziej dokuczliwych bolączek aprowizacyjnych należy bezsprzecznie kwestya opałowa. W lecie tak jej nie odczuwamy, lecz w zimie dała się nam już porządnie we znaki, a przyszłość przedstawia się jeszcze w czarniejszych kolorach. Węgle, to dziś prawdziwe „czarne dyamenty“, dostępne tylko dla milionerów, choć i im także zdobyć je trudno. Mamy węgle w kraju, nawet w najbliższem sąsiedztwie Krakowa, nic to przecież nie wpływa na ulżenie doli mieszkańców miasta, skazanych w zimie na zamarznięcie.**

**Z konieczności zastępuje się węgle drzewem ale i tego materyału brak, tem trudniejszy do wytłómaczenia, że Małopolska obfituje w lasy.**

**Jasny więc dowód, że gospodarka materyałami opałowymi jest wadliwa, a to mamy do zawdzięczenia centralnym władzom, nazbyt troszczącym się o były zabór austryacki. Centrale, inspektoraty i inne podobne wojenne nowotwory urzędują wprawdzie, ale jakoś nie widać skutków ich pracy i zabiegów.**

**Aby złemu bodaj w części zaradzić i ułatwić mieszkańcom nabywanie drzewa opałowego, skoro**



**Pod znakiem aprowizacyi:** Uczestnicy uroczystości poświęcenia urządzeń motorowych do rąbania drzewa w krakowskich zakładach aprowizacyjnych.

węgli niema, gmina miasta Krakowa, zajmująca się sprawami aprowizacyjnemi, zakupiła cztery piły do rznięcia drzewa, pędzone motorami i tyleż maszyn do rąbania, aby módz łatwo dostarczyć ludności drzewa opałowego, przygotowanego do użytku.



**Pamięci majora Szul-Skjöldkrona.** Bogusław Marya Szul-Skjöldkrona, major sztabu gen., poległy pod Czertwertyniówką.

Uruchomienie nowych urządzeń odbyło się w ubiegłym tygodniu w magazynach miejskich za Warszawską rogatką.

Na uroczystość poświęcenia przybyli wiceprezydenci Sare i Rolle, dyrektor Magistratu Grodyński, naczelnik aprowizacyi miejskiej Jędrzej Moskal i grono urzędników z zasłużonym kierownikiem zakładu inżynierem Tadeuszem Pochwalskim, oraz robotnicy.

Aktu poświęcenia maszyn dokonał X. prof. Soświński po odprawieniu mszy św. w kościele św. Floryana. Po przemowach X. prof. Soświńskiego, p. Jędrzeja Moskala i wiceprezydenta Sarego dokonano przecięcia szarf i puszczono w ruch nowe maszyny. Montował je pod kierunkiem inż. Pochwalskiego p. Wojciech Piątek, wł. zakładu mechaniczno-ślusarskiego, wywiązując się z zadania doskonale. — Uroczystość zakończyło skromne śniadanie.

Maszyny są już, jeśli się zatem znajdzie i odpowiednia ilość drzewa, wszystko będzie w porządku.

## Pamięci majora Szul-Skjöldkrona.

Drugiego czerwca doniosły gazety, że padł śmiercią bohaterską major szt. gen. Szul Skjöldkrona. Spadła na nas wszystkich ta wiadomość, jak grom, gdyż zdawało się niepodobnem, by to młode życie, takie świetne rokujące nadzieje, przerwane zostało tak wcześnie.

S. p Bogusław był niepospolitą postacią, tak, że nie mógł przejść przez tak nawet krótkie życie bez zostawienia po sobie żywej pamięci. Już jako dziecię zdradzał wybitne zdolności, jego zbiory chrząszczy polskich, imponujące liczbą (25.000) i rzadkością okazów są zbierane w latach od 11—17 roku życia, a więc w dziecięcym prawie wieku. W tym to pierwszym okresie swego życia zwracał Bogusław uwagę swoich profesorów i kolegów zdolnościami i niezmordowaną pracowitością. Od najmłodszych lat należał do skautów, których zasadom pozostał wiernym do śmierci.

W 1914 w lipcu wyruszył w skautowym mundurze na pole walki. Pamiętam jego śliczną pacholęcą postać, jak z ogniem w natchnionych oczach prowadził swoje zastępy przez Drohobycz na dworzec. Taki to był wzruszający widok, to dziecko prawie, ruszające w bój za Ojczyznę na czele wąsatych wiarusów.

Najlepsze myśli nasze mu towarzyszyły, a usta mimowoli szeptały: „Szczęść mu Boże i daj nam takich dzieci więcej“.

I poszedł. — Parę miesięcy nic o nim słychać nie było, ale potem, co czas jakiś przedzierały się ku nam z linii bojowej jego piosenki. Tu i ówdzie można było spotkać w gazecie opis bohaterskiego młodego legionisty „pięknego, jak panienka“, który pieśniami swemi umilał los żołnierzom.



**Nad świeżą mogiłą:** Sp. Stanisław Michalski, dyrektor szkoły św. Barbary, prezes „Ogniska nauczycielskiego“ w Krakowie.

S p. Bogusław był na froncie w swoim żywiole. Żołnierze przepadali za swym młodziutkim komendantem.

Uczył ich piosenek, organizował drużyny skautowe, uczył ich grać w football i tennis, oswajał im ptaki, tak, że jego kompania radośnie spędzała



**Festyn sokoli w Podgórzu:** Ćwiczenia gimnastyczne dziewcząt pod kierownictwem druha Nowaka.



**Festyn sokoli w Podgórzu** · Rej kolarzy.

Ciężkie czasy przeszedł tam biedny legun, tułacz pod biegunem. Żartobliwie, ale jednak w żarcie, przez który łzy czuć, skarży się:

Straszneż to dziwy, Boże apostolski!
Wybrał się legun na obronę Polski
Chciał bronić kraju, nieszczęśliwy legun
Obronił biegun.

Po wszystkich udrękach, nareszcie lepsza zaświtała mu dola. Przez Francyę przybył z ukochanym generałem do Polski.

W uznaniu zasług jego i niepospolitych zdolności został majorem szt. gen. Został szefem VIII dywizyi, a potem szefem biura operacyjnego armii Iwaszkiewicza. Jego plany zyskały mu najwyższe uznanie. Talent jego rozbłysnął pełnym światłem. Napisał wtedy bardzo poważne dzieło strategiczne, mimo niezmordowanej pracy w sztabie, znajdując czas na to, jak w przedmowie pisze, niezbędne dzieło dla Polski.

Brakło oficerów na froncie — sam rzuca stanowisko i spieszy w szeregi żołnierzy. Znów z piosenką na ustach prowadzi ich zastępy do boju i z tym niezrównanym humorem dodaje im odwagi: „Chłopcy to nie do nas strzelają — nas się kule nie chwytają“. Niestety, chwyciła się go nietylko kula ale i śmierć. Ginie w 2 godziny po otrzymaniu rany w brzuch — z radością, z uśmiechem na ustach zbolałych, bo przecież za Ojczyznę dane mu jest umrzeć...

dni szare, jednostajne. Gdy przyszło do walki — rwał się w pierwszym rzędzie do boju (pod Mołotkowem). Przeszedł wszystkie nędze żelaznej karpackiej brygady. Jak sam opisuje:

Przez karpacki grzebień śnieżny,
Bessarabski step bezbrzeżny,
Bukowińskich łanów złoto,
Przez wołyński piach i błoto
Idąc tak na bliższe drogi
Dziś wstępujem w Twoje progi,
O Warszawo!

W Karpatach został adjutantem gen. Hallera i odtąd już nie odstępuje ukochanego wodza. Gdy Haller przeszedł, ś. p. Szul był w Krakowie. W cywilnem ubraniu przedziera się do niego i na czas jeszcze staje pod Kaniowem, by bić się z Niemcami.

Po bitwie nie poddaje się, przebija się przez obóz niemiecki i w Kijowie, a potem w Rosyi zbiera legionistów, organizuje wojsko i dąży na Murmań.

Prawie pięć miesięcy, a może i więcej
Łaziliśmy ponad Dźwiny brzeg
Naokoło błocka i piechota szkocka
Mało brak, aby się człowiek wściekł.
Francya, Anglia, Ameryka,
„Sławo-Bryt“, „dywizya dzika“
Włochy, Mochy: niech bolszewik mores zna.
Czary być w tem muszą
Żeśmy uszli z duszą
Snać już legun szczęście ma.



**Wyścig kolarski Kraków—Częstochowa**: z rowerami od lewej ku prawej ręce stoją: Janik, Sikorski, Nieć, Chyłkowicz, Höchsmann, Gnojek — między nimi: Eugeniusz Wejss, Rudnicki, Rychliński, Wismiller i Oleksow.

## Nad świeżą mogiłą.

Dnia 24 czerwca zmarł ś. p. Stanisław Michalski, dyrektor szkoły im. św. Barbary. Urodzony i wychowany w Krakowie początkowo objął posadę w Chrzanowie, skąd codziennie przyjeżdżał do rodzinnego miasta, by wykładać na kursach wieczorowych. Ustawicznie czynny, energiczny, a w obejściu łagodny i towarzyski, był wzorem zamiłowanego w zawodzie swoim pedagoga i prawego obywatela. Tym zaletom zawdzięczał miłość młodzieży i uznanie kolegów, którzy za sprężystą pracę w łonie nauczycielstwa wysunęli go na stanowisko prezesa krakowskiego „Ogniska nauczycielskiego“ i delegata do Rady szkolnej okręgowej. Niemniej ruchliwą była jego czynność w „Sokole“. Nie było prawie gniazda w krakowskiem, na Śląsku i na pograniczu w Królestwie, gdzie nie zjawiłby się jako instruktor lub organizator, na ćwiczeniach, zlotach i wiecach. Ta chęć służenia dla dobra kraju, a zwłaszcza dla rozwoju tężyzny ducha patryotycznego, skłoniła go i do pracy T. S. L.

Nie przestając nadal służyć umiłowanej idei, i cz raczej wytężając wszystkie siły, by w odradzającej się ojczyźnie krakowska młodzież i nauczycielstwo mogły zająć godne miejsce, pracował mimo nurtującej organizm nieuleczalnej choroby aż do ostatniej chwili. Ta praca podkopała organizm, choroba raka przecięła jego żywot w 49 roku życia, wywołując powszechny żal, któremu dało wyraz nauczycielstwo, biorąc nader liczny udział w pogrzebie.

Osierocił żonę Stefanię z Górskich i troje dzieci, dla których był najlepszym mężem i ojcem.



**Lekka atletyka w krakowskim „Sokole“**: Grupa uczestników kursu lekkiej atletyki „Sokoła“ krakowskiego wraz z kierownikiem druhem Hamburgierem.

ROBERT HICHENS.

# Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM I.

7

— Doprawdy, nie mogę jeść, Armine, proszę cię, nie karz mi nic podawać.

— Przynajmniej choć trochę zupy i kieliszek szampana.

I nie czekając na odpowiedź wydał polecenie.

— Moglibyśmy siedzieć w hall'u — rzekł — ale tutaj więcej zajmująco. — Pamiętaj, że nie byłem w Londynie — nie widziałem londyńskiego przedstawienia — przeszło ośm miesięcy. W takiem miejscu jak tu, można spotkać dużo znajomych i przyjaciół.

Mayer Iseacson otworzył usta, żeby powiedzieć, że Armine mógłby o wiele łatwiej spotkać swych przyjaciół, w czasie sezonu w prywatnych domach na przyjęciach.

Do sali zaczęła napływać Ameryka, zmieszana z Anglikami, mieszkającymi stale na wsi, i z reprezentantami różnych narodowości świata. W tym heterogenicznym tłumie, doktór nie poznawał nikogo ze znajomych i nie spostrzegał, żeby Armine nie bez jakiegoś celu przyprowadził go dziś na kolacyę do Savoy. Dla jakiegoś powodu, przyjaciel jego, nie wyjawił mu tego celu, ale za chwilę to się wyjaśni, powinien tylko cierpliwie czekać parę minut, a dowie się o co chodzi.

Kelner przyniósł zupę i szampana.

— Gdyby który z moich pacyentów, któremu stanowczo zabroniłem jeść kolacyę, widział mnie teraz — rzekł doktór — i gdyby wiedział, że przychodzę prosto z drugiego obiadu! Armine! składam wielką ofiarę na ołtarzu przyjaźni.

— Mam nadzieję, że żadnego pacyenta nie zobaczyłeś!

— Do tej pory nie.

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy ujrzał, wchodzącą, opodal od nich, Mrs. Chepstow. Była sama. Wypatrywał jej orszaku, ale, ku wielkiemu jego zdziwieniu, przyszła sama. Trzymając się bardzo poprawnie, nie patrząc w prawo ani w lewo, szła eskortowana przez Maître d'hotel; przeszła obok Armine'a i Iseacsona i siadła przy stoliku, stojącym niedaleko, zwrócona do nich profilem. Powiedziała kilka słów Maître-d'hotel, on je powtórzył kelnerowi i odszedł. Mrs. Chepstow siedziała spokojnie, patrząc w dół. Umieściła koronkowy wachlarz obok nakrycia, które lśniło przy elektrycznem oświetleniu i rękę lekko na nim położyła. Była ubrana czarno, miała bryllantowy grzebień we włosach, farbowanych włosach i białe rękawiczki. Z miejsca, na którem siedzieli obaj przyjaciele, jej dziwnie jasna cera, wyglądała niezwykle delikatna i biała. W białości i spokoju tej kobiety, która wśród wesołego tłumu siedziała sama, było coś patetycznego. Wiele osób patrzało na nią, niektórzy szeptali o niej, widocznie byli zdziwieni jej samotnością, ale ona zdawała się nie widzieć, że zwraca ogólną uwagę. I była dziwna prostota w tej nieświadomości i całym układzie, który, przy pewnej odległości, wydawał się prawie dziewczęcym.

— To Mrs. Chepstow — rzekł jakiś pan, przy sąsiednim stoliku Armine'a, nachylając się do swego towarzysza. — I absolutnie sama — na Jowisza!

— Widocznie nie mogła zwabić nawet kożłka z Sandkurst — odparł — dziwię się, że ma czoło tu przychodzić, jeżeli nie mogła zdobyć eskorty.

Zniżyli głos, nachylając się jeden ku drugiemu.

Armine podniósł do ust kieliszek z szampanem, wypił i postawił.

— Jeżeli zobaczysz jakiego pacyenta, możesz mu powiedzieć, że to moja wina; biorąc wszysko na siebie. Ale chyba nie spełniasz wszyskich przepisów, które innym zalecasz?

Głos jego był trochę nieswój, jak gdyby mówił jedynie w celu pokrycia wzruszenia z którem się tail.

— Nie, ale muszę przecie dawać przykład rozsądnego życia.

I zaczęli rozmawiać o zdrowiu, jak ludzie, którzy wiedzą, że są obserwowani albo też, którzy się wzajemnie obserwują. Parę razy Mayer Iseacson skierował wzrok na Mrs. Chepstow. Jadła kolacyę, powoli, nie podnosząc oczu. Widocznie nie spostrzegła ani jego, ani Armine'a, zdawało się nawet, że nie widzi nikogo, była obojętną na całe otoczenie. Doktór, mimowoli czuł dla niej litość, choć się zapytywał, czy też ona na współczucie zasługuje. Tak jak inni, dziwił się jej osamotnieniem. Siedzieć tak samej, w restauracyi, było to przyznać się do niepowodzenia w życiu, które obrała, do opuszczenia



Nie skończył jeszcze mówić, kiedy ujrzał, wchodzącą, opodal od nich Mrs. Chepstow.

przez mężczyzn. Dlaczego tu przyszła? Nie mógł tego odgadnąć, ale później — wiedział. Początkowo myślał, że czeka na kogoś, że ten ktoś się spóźnił, ale nikt nie przychodził i drugiego nakrycia na stole nie było,

Rozmowa z Armine'em się urwała. Wreszcie ten ostatni się odezwał:

— Chcę cię dzisiaj komuś przedstawić.

— Tak? a komu — zapytał Iseacson, ale już wiedział.

— Mrs. Chepstow.

Doktór już miał na języku, że ją zna, kiedy Armine dodał:

— Mówiłem jej o tobie, powiedziała mi, że cię nie zna.

— Kiedy to było?

— Przed czterema dniami, kiedy zostałem jej przedstawionym i pierwszy raz z nią rozmawiałem.

Doktór milczał przez chwilę, poczem rzekł:

— Będę bardzo rad.

Pomimo wielkiej z przyjaciółmi szczerości, był bardzo dyskretnym we wszystkiem co się odnosiło do jego lekarskiego zawodu. Nie wiedział, czy Mrs. Chepstow życzy sobie, żeby wiedziano, że się go radziła o swe zdrowie, to też nie wspomniał o tem i pozostawił przyjaciela w mniemaniu, że jej wcale nie zna.

— Mieszka w tym hotelu i siedzi teraz tutaj, nie daleko. Ale naturalnie musisz ją znać z widzenia.

— Tak, widywałem ją czasem.

— Przypuszczam, że będzie się tobie podobała, jeżeli się pozbędziesz swych do niej uprzedzeń.

— Dlaczego mam mieć uprzedzenie przeciw Mrs. Chepstow?

— Ludzie je mają. Nikt nie ma dla niej dobrego słowa, mężczyźni i kobiety źle się o niej odzywają.

Z tonu, jakim to mówił, Mayer Iseacson poznał, że fakt ten wpłynął korzystnie na usposobienie Armine'a względem Mrs. Chepstow.

Bywają ludzie jakby urodzeni na to, żeby bronić przegranych spraw, ludzie, którzy instynktownie zwracają się do tych, od których inni stronią, kierowani w tem tajemnie, przez uczucie rycerskości, które zaślepia ich rozum, albo po prostu, przez dobroć serca, które rzuca cień na jasność ich rozsądku.

Nigel Armine, był jednym z takich ludzi i Iseacson wiedział o tem. Nie bardzo się więc zdziwił, kiedy przyjaciel ciągnął dalej:

— Ludzie widzą tylko powierzchnię rzeczy i sądzę z tego, co widzą. Nie potępiam ich, ale czasem to jest — to jest dyabelnie trudno nie potępiać okrucieństwa, zwłaszcza, jeśli to okrucieństwo jest skierowane przeciw kobiecie. Nie dalej, jak dzisiaj wieczorem, Mrs. Derringham — i mówisz, że to dobra kobieta?

— Bardzo dobra.

— A jednak powiedziała mi: dla takich kobiet jak Mrs. Chepstow, nie znam litości, a zatem nie proś mnie o nią Mrs. Armine. Co za wyznanie Iseacson.

— Czy powiedziała swoje powody?

— Owszem — próbowała. Powiedziała zwykłe rzeczy.

— Jakie?

— Że się zaprzedała szatanowi z duszą i ciałem dla materyalnych zysków. Że jest typową, chciwą kobietą.

— A czy powiedziała co przez to właściwie rozumie?

— Owszem; mówi, że to kobieta bez ideałów, bez poczucia życia domowego i tego wszystkiego co się przez nie rozumie: mąż, dzieci, spokój w życiu niesamolubnem, odpoczynek w pracy dla bliźnich; kobieta, która szkodzi opinii swojej płci, kierując wszystko do samej siebie; której pragnienia nie przekraczają poza obręb pospolitych zachcianek i przyjemności, rozrzutnego wydawania pieniędzy na stroje, klejnoty, jachty, domy, samochody, słowem, na wszystko, co wzbudza zachwyt i podziw w drugorzędnych umysłach.

— Takie kobiety bywają.

— Być może. Ale mój drogi Iseacson, dość spojrzeć na Mr. Chepstow, żeby widzieć, że ona do nich nie należy. Nawet, gdybym z nią nigdy nie rozmawiał, byłbym jednak przekonany, że ma ideały, że jakiemkolwiek jej życie jest, albo było, nie może ich nie mieć. Fizyonomia nie może tak kłamać. Spojrz na linie tej twarzy, czy nie widzisz tego, co mówię.

Obaj spojrzeli na samotną kobietę.

— Bezwątpienia, jest pewna piękność w Mrs. Chepstow — rzekł doktór.

— Nie mówię o piękności, mówię o idealności, o czystości. Czy nie widzisz tego? powiedz uczciwie.

— Tak — widzę.

— Ach! — zawołał Armine.

W tym okrzyku brzmiała radość.

— Ale ten wygląd, sądzę, jest jedynie kwestyą linii i sposobu uczczenia. Czy chcesz powiedzieć, że sądzisz kobietę z jej powierzchowności, a nie z uczynków?

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Kronika tygodniowa

Sądziłem, że niniejszą kronikę zacznę pisać pod znakiem definitywnie ukończonego przesilenia gabinetowego, niestety, nie mogę tego powiedzieć, choć bowiem ostatecznie mamy już gabinet i to tym razem prawicowy, nie lewicowy, nie da się przewidzieć, czy do czwartku, to jest dnia, w którym *Nowości Illustrowane* ujrzą światło dzienne, nie pojawi się nowy, zwłaszcza, że lewica przez usta Dra Diamanda i Dra Putka zapowiedziała panu Grabskiemu walkę na śmierć i życie.

Sytuacya niezbyt więc miła i to w czasie, gdy zewnętrzne stosunki wymagają, aby wewnątrz kraju panował spokój, ład i porządek.

Na przesilenie gabinetowe zanosiło się oddawna, kandydaci do tek ministeryalnych przygotowywali się do objęcia nowych posterunków. Jedni z nich kupowali sobie nawet krawatki, bez których się dotąd obchodzili, inni uczyli się na gwałt po francusku, aby na wszelki wypadek, gdyby im przypadły sprawy zagraniczne, nie potrzebowali porozumiewać się na migi w Paryżu lub Londynie.

Gabinet Skulskiego postanowił, jak już w poprzednim tygodniu wspomniałem, przeprowadzić sekwestr ziemiopłodów, aby w ten sposób zapewnić ludności wyżywienie na następny rok, zapowiadający się jeszcze gorzej, niż bieżący. Stronnictwa ludowe projektu rządowego nie aprobowały, oświadczyły się też w komisyi przeciw niemu, nic sobie z tego nie robiąc, choć minister aprowizacyi Śliwiński zagroził, że, w razie, gdyby upadł wniosek rządowy, wyciągnie z tego konsekwencye, to jest poda się do dymisyi.

To bynajmniej nikogo nie rozczuliło, zwłaszcza, że każde ze stronnictw ma stale w zapasie po kilku kandydatów na każdy fotel i tylko czeka na wakans. Pójdzie w odstawkę jeden, znajdzie się zaraz drugi.

Nikt jednak nie przypuszczał nawet, że cały gabinet może się rozlecieć, choć ciągle narzekano, że rząd p. Skulskiego nie ma żadnego programu, nie opiera się na większości, słowem wegetuje tylko z dnia na dzień. Spodziewano się też jego upadku, ale nikt nawet nie przypuszczał, że to może nastąpić tak prędko. Spodziewano się, że do letnich feryi jakoś się może utrzyma, potem sobie pojadą posłowie na wypoczynek, a gdy powrócą, nabrawszy nowych sił, bomba pęknie.

Tymczasem pękło, sprawiając niespodziankę nawet tym, którzy się do tego przyczynili.

Po ostatniem posiedzeniu Komisyi aprowizacyjnej, na którem za wnioskiem rządowym o sekwestrze oświadczyło się dziewięć głosów, a przeciw piętnaście, pan minister Śliwiński zaczął pakować swe kufry, pożegnał się też z nim serdecznie minister Patek, który w tym właśnie dniu wyjechał za granicę, gdzie, jako „minister spraw zagranicznych“ stale czas spędza. Był pewny, że z kolegą już się nie spotka (przeznaczono go bowiem na całopalenie...), ale mu to ani na myśl nie przyszło, że sam za swej podróży wróci już nie jako minister.

Właściwym powodem upadku gabinetu Skulskiego był pan Patek. Wyjeżdżając zawiadomił o tem tylko prezydenta, a ten zastępstwo nieobecnego oddał wiceministrowi Dąbrowskiemu.

I to było powodem eksplozyi.

W ministerstwie spraw zagranicznych jest prócz ministra dwu wiceministrów (powinno być czterech: od wschodu, zachodu, południa i północy... *przyp. zecera*), Dąbrowski i Dąbski. Obaj są w jednej i tej samej randze, ale pan Dąbski zamianowany był coś o pięć dni wcześniej, słusznie zatem twierdził, że jest rangą starszy i że jemu należy się zastępstwo.

Innego zdania był natomiast prezydent Skulski, który, wychodząc z założenia, że obaj „wicki“ są równowartościowi, tym razem zastępstwo powierzył Dąbrowskiemu, gdyż bezpośrednio przedtem zastępował Patka Dąbski.

To zgniewało Dąbskiego, poszedł też zaraz na skargę do Witosa, ten zaś przyznał mu racyę, oświadczył, że wobec tego do rządu pana Skulskiego nie może mieć zaufania i polecił członkom swego stronnictwa, w ich liczbie i panu Dąbskiemu, aby zgłosili dymisyę.

Tak się też stało. Zrobił się gwałt, jasnem było, że gabinet musi się cały podać do dymisyi, przesilenie zaś załatwi się prędko, gdyż każdy z przywódców stronnictw miał już przygotowaną w zanadrzu listę nowego gabinetu.

Pokazało się przecież, że to tak łatwo nie pójdzie, jakby kto może myślał. Najpierw zaczęto się zastanawiać nad tem, jaki ma być przyszły gabinet, urzędowy czy parlamentarny.

Urzędowy musiałby się składać z fachowców i jako taki miał najwięcej wrogów.

— Co nam po fachowcach? — mówiono, może i słusznie. — Mieliśmy dotąd tylu ministrów, którzy nie znali się zupełnie na sprawach swojego resortu, a jakoś rządzili, obejdzie się i dziś bez nich!...

Pozostał zatem gabinet parlamentarny, ale taki musi się opierać na stałej a pewnej większości. Tej zaś dotąd nie było, trzeba ją zatem utworzyć.

Zaczęto więc lepić, ale robota jakoś nie szła sporo. Co już zlepiono, pokazywało się, iż taka mizerna, że niech na posiedzenie nie przyjdzie tylko kilku z każdego stronnictwa (a wiadomo, że posłowie mają i swoje własne interesy do załatwienia w Warszawie...), już jej niema!

Stanęło wreszcie na tem, że powstał blok stronnictw centrowo-lewicowych i z jego ramienia zająć się złożeniem gabinetu pan Skulski. Radzono w dzień, radzono nawet i w nocy, co chwila wyłaziły na wierzch nowe trudności. Pan Skulski, choć aptekarz z zawodu, musiał sobie powiedzieć:

— Nie!... Ja też nie dam rady!

I zrzekł się mandatu, utworzenie gabinetu poruczono zaś p. Breyskiemu z Narodowej Partyi Robotniczej.

Ale i jemu nie powiodło się lepiej. Trudności mnożyły się. Widząc zatem, że przedsięwzięcie przechodzi jego siły, powiedział i on: *„Pas!“*

Wysuwając tę nową kandydaturę prawica zaczęła dawać do poznania, że i ona gotowa byłaby do zajęcia się tą sprawą, ale tego nikt nie brał na seryo.

Przyszła wreszcie kolej na Witosa. On miał być owym mężem Opatrznościowym, kierującym nawą państwową i zaprowadzić ją wśród rozhukanych politycznych bałwanów do bezpiecznego portu.

Powierzono mu w dziesiątym dniu przesilenia mandat utworzenia nowego gabinetu, on go przyjął i, że jest człowiekiem energicznym, przystąpił zaraz do pracy, to jest do podziału tek między poszczególne stronnictwa bloku wedle z góry ułożonego klucza.

Ten klucz, to całe nieszczęście! Nic nie otwiera, a przed Witosem zamknął podwoje prezydyalnych apartamentów. Utarło się, że każde ze stronnictw ma dostarczyć tylu a tylu ministrów, bez względu na to, czy ma ludzi odpowiednich, czy nie. Ze jednak, jak się wyżej rzekło, fachowców nam nie potrzeba, nikogo o to głowa nie boli.

Kandydatów w żadnem stronnictwie nie brak, jest ich nawet więcej, niż potrzeba, ale znów w tem sęk, że każde z nich zastrzegs dla siebie teki i od żądań nie odstąpi ani na jotę.

I pokazało się, że na niektóre z nich popyt jest wielki, o inne zaś nikt się nie spyta. Sprawy zagraniczne, skarb, sprawy wewnętrzne, aprowizacya, praca mają tylu kandydatów, że w każdem z nich możnaby zrobić i trzech ministrów, o takie zaś zdrowie lub kulturę i sztukę nikt nie kompetuje.

I właśnie przy tym podziale łupów przyszło do nieporozumienia. Po ważniejszą tekę sięgał każdy, mniej ważną zostawiając reszcie. Nawet i tak zachwalana energia Witosa nie pomogła. Widząc, że wszystkich nie obdzieli tak, jak tego pragną, rzekł sobie:

— Niech się bawi kto inny! — pojechał do Belwederu i zgłosił rezygnacyę w ręce Naczelnika Państwa.

Kandydatura Witosa, jak zresztą każda inna, miała swych zwolenników i przeciwników, w każdym razie, przyznać trzeba, niesmaczne było wyrażenie się *Gazety wieczornej*, że w razie powstania gabinetu Witosa przedstawia się subskrybowanie pożyczkę państwową. Subskrybuje się ją przecież nie dla prezydenta gabinetu, lecz dla kraju, a nigdzie nie jest zapisane, że Witos nie potrafiłby dobrze rządzić. A może właśnie, dzięki jego energii, o której tyle mówiono i pisano, udałoby mu się spędzić w kupę chodzące dotąd luzem stronnictwa?...

W każdym razie gabinet Witosa należy już do przeszłości. Zgasł, jeszcze przed przyjściem na świat, na wewnętrzny rozstrój polityczny.

I teraz stało się, o czem dotąd nikomu się nie śniło. W dniu 24. czerwca dowiedzieliśmy się, że złożenie gabinetu powierzono b. ministrowi skarbu Grabskiemu, i że teka nowych ministrów już gotowa.

Czeka go ciężki żywot i tego mu nie zazdroszczę. Lewica już mu wypowiedziała wojnę, a może być pewnym, że przybyło mu tylu osobistych wrogów, o ilu powiększyła się podczas tego przesilenia liczba niedoszłych ministrów.

Zaczął pod znakiem oszczędności, łącząc po dwie teki w jednem ręku: rolnictwo i aprowizacyę, kolej i pocztę, rzekomo, aby państwo miało mniejsze wydatki, choć raczej należałoby w innym kierunku porobić skreślenia. Dwie pensye ministeryalne więcej, dwie mniej, to dla budżetu miliardowego nie stanowi zbyt poważnej rubryki. Uwolnienie całej gromady szefów, radców i referentów, byłoby bardziej na miejscu, sami bowiem nic nie robią (ale pensye pobierają bardzo pokaźne i stale upominają się o awans...), przyczyniając się jedynie do wprowadzenia tam większego chaosu.

Na razie mamy zatem gabinet prawicowy. Czy on się utrzyma, i jak długo, oto pytanie, na które odpowiedź może się znaleźć jeszcze na końcu tej kroniki. „Już go niema!...“ możemy usłyszeć dziś lub jutro, choć nikt także z góry nie może powiedzieć, aby prawica nie potrafiła godnie spełnić obowiązków, jakie na się dobrowolnie przyjęła dla dobra ogółu, nie stronnictwa!

Czy ta nowa kombinacya pana Grabskiego, minister o dwu tekach dla oszczędności, jest pomysłem fortunnym, w to wątpić należy. Taki *Janus bifrons*, musi patrzeć w prawo i w lewo, a nie będzie widział tego, co się przed nosem dzieje.

Przyjdzie kto do pana ministra rolnictwa i aprowizacyi, może go zastać akurat w usposobieniu „aprowizacyjnem“, gdy tymczasem on chciał mówić w sprawie agrarnej i dowie się od niego:

— Pan daruje, ale ja w tej chwili jestem ministrem aprowizacyi. Proszę się później zgłosić!

Obecna kampania ministeryalna dała nam sposobność do poczynienia różnych smutnych spostrzeżeń. Przekonaliśmy się, że nasi panowie posłowie zbyt mało dbają o interesy ogółu, sprawy partyjne wysuwając na pierwszy plan. Być może, że są jak najlepiej usposobieni, ale każdy widzi zbawienie tylko w działalności swojego stronnictwa, innych nie uznając. I stąd te trudności w utworzeniu większości. Nie wejdzie do niej ludowiec, gdy tam jest endek, będzie ją wszelkiemi siłami zwalczać socyalista, widzący w każdym „prawicowcu“ wroga ludu pracującego. Z tych samych powodów odmawia się poparcia rządowi, o ile w jego skład wchodzą przedstawiciele innych zapatrywań. Aby była zgoda, musiałby Sejm składać się z członków tylko jednego stronnictwa, także i gabinet.

To wzajemne zwalczanie się stronnictw szkodzi ogromnie ogólnej sprawie i utrudnia pracę, nic też dziwnego, że dotąd jeszcze nie mamy konstytucyi, choć Sejm radzi już szesnasty miesiąc nad wszystkiem innem, tylko nie nad tem, od czego powinien był zacząć. I kto wie, czy się jej tak prędko doczekamy, skoro połowa posłów jest za Sejmem jednoizbowym, druga za dwuizbowym i ani rusz dojść do porozumienia.

Zawiedli więc panowie posłowie oczekiwania. Jakże inaczej mówili w okresie wyborczym, gdy się ubiegali o mandaty! Każdy z nich miał na ustach *salus Reipublicae*. Słuchając ich mów kandydackich miało się wrażenie, że jeden w drugiego to Arystydes i Kato w jednej osobie, skromny i straszny, gotów wszystko, nawet swe zasady złożyć na ołtarzu Ojczyzny, gdyby tego zaszła potrzeba. A tymczasem nie Ojczyzna mu w głowie, ani dobro ogółu, jeno troska, aby stronnictwo, do którego należy, zajęło pierwsze miejsce.

Przypomina mi to pewnego znanego adwokata z przed lat dawnych. Ogromnie się oburzał, iż przy podziale spadku chciała rodzina skrzywdzić biedną wdowę. Zajął się też gorliwie jej sprawą, wywalczył dla niej kamieniczkę, którą zabrał dla siebie jako honorarium, a wdowa wyszła wprawdzie z kwitkiem, ale z przeświadczeniem, że słuszność była po jej stronie, bo... proces wygrała.

Tak, jak on myślał tylko o własnym interesie, tak nasi posłowie troszczą się tylko o swe partye, a Ojczyzna-wdowa może się cieszyć z tego, że byli tacy, którzy obiecywali pracować dla jej dobra.

Smutne to, ale prawdziwe, poprawy stosunków w tym kierunku tak rychło spodziewać się nie można, zwłaszcza, że stronnictwa mnożą się ciągle, niczem grzyby po deszczu, a każde uważa się za najlepsze.

Na razie w Sejmie panuje nawet i spokój, gdyż posłowie, zmęczeni pomocą przy rozwiązaniu kwestyi przesilenia gabinetowego, rozjechali się na pięciodniowy wypoczynek, z którego wrócą dopiero we środę, gdy kronika będzie już na maszynie. W tym dniu ma się przedstawić Sejmowi nowy premier wraz z swym gabinetem, niezawodnie więc to i owo stronnictwo da wyraz swej niechęci dla szczęśliwego współzawodnika.

Posłów czeka ciężka praca. Marszałek Trąmpczyński zapowiedział wprowadzenie ośmiogodzinnego dnia pracy sejmowej, na właśnie, swary i załatwianie osobistych porachunków będzie więc dość czasu. W niedalekiej przyszłości czekają posłów ferye letnie i powrót na łono rodzin i wyborców, którzy n. p. w Krakowie nie mogą się doczekać uczciwego sprawozdania z czynności poselskich swych wybrańców.

# BERBERYJSKIE KOZY

**(Tłómaczenie z angielskiego).**

19 (Ciąg dalszy nastąpi).

— Skąd pan o tem wie?

— Wszyscy o tem wiedzą, gospodarze, służba, wszyscy. Może nie madame! Mądry człowiek działa szybko, bez słowa, jeżeli działa przeciw życzeniu żony.M adame się dowie, wsiadając do pociągu, który idzie do Tunisu!

— A więc — a więc nigdy nie zobaczę prawdziwej pustyni!

Uczucie gorzkiego zawodu i upokorzenia powstało w Lady Wyverne. Jej samowola, która panowała długie lata, została odpędzona jak zwierzę uderzeniem bata. Uwierzyła słowom Benszaalala, została przekonana jego tonem zdziwionej szczerości. Uczyniło się jej gorąco. Więc to było powodem dziwnego zachowania się męża na werandzie. Więc dlatego starał się uniknąć jej pocałunku. Użył przyjemności polowania, a teraz ją zabierze.

Czerwone plamy wystąpiły na jej delikatne policzki. Bez słowa zaczęła iść dalej.

Benszaalal idąc tuż przy niej, czytał jej uczucia, widział swe powodzenie, lecz był zanadto sprytny, żeby powracać do sir Claude. Zaczął mówić o pustyni, o dziwnem w niej życiu, o wolności i swobodzie. I mówił szczerze, gdyż kochał swą ojczyznę, pomimo, że jak większość arabów polubił miasta, od kiedy poznał ich rozpustę. Starał się wykrzesać ogień w wyobraźni młodej kobiety, podobny do ognia brylantów, zwieszających się z jej szyi, które przy każdym jej ruchu płonęła w promieniach księżyca. Łączył te klejnoty z osobą, która je nosiła, ich blask z blaskiem jej gniewnych oczu, ich jasność z jasnością jej twarzy, ich połysk z połyskiem jej włosów.

— Ach! — zawołał — gdyby pani nie odjeżdżała jutro! Nie odjeżdżała do Anglii!

— Może nie wyjadę, — rzekła tonem, w którym dziecinna nuta już nie dźwięczała.

— Ale jeżeli mąż pani wyjedzie?

— Może nie wyjadę, — powtórzyła. — My nie jesteśmy podobne do kobiet, które chodzą w zasłonach. Zachodnie kobiety nie są niewolnicami.

— On uczyni jak zechce. Widziałem to w jego oczach, kiedy z nim mówiłem nad rzeką.

— On nie jest moim panem.

— Ja byłbym pani niewolnikiem.

Znajdowali się teraz przy końcu wąwozu u stóp góry, której szczyt był podobny do leżącego wielbłąda.

— Pan nie powinien mówić do mnie w ten sposób — rzekła.

— Byłbym pani niewolnikiem, — powtórzył jakby nie słysząc jej słów.

— Lecz — rzekła, siląc się na ton lekkiej rozmowy, — lecz w tym kraju kobiety są niewolnicami.

— Brunatne kobiety! A pani — pani jest biała! Pani jest jak srebrny księżyc, jak słońce, kiedy jaśnieje po święcie Bam-a-dan. Kiedy panią widzę, patrzę na Wschód. Czy pani wie o tem?

Ręka jego wyciągnęła się instynktownie do zwieszającego się łańcuszka, lecz zaraz ją cofnął.

— Brunatni ludzie uwielbiają białe kobiety. Pani jest jak brylant, jak jeden z tych brylantów, które nosi.

Przez cały czas jak mówił, patrzał na nią przenikliwie. Paliło go podwójne pragnienie, dwa serca w nim biły, serce kochanka i serce rozbójnika. Obie najżywotniejsze namiętności araba kolejno brały w nim górę. W tej chwili był zdolnym upaść Lady Wyverne do nóg i oddać życie dla niej, gdyby tylko była mu przychylną, ale był także zdolnym zabić ją dla jej klejnotów, gdyby mu się oparła.

Pomimo ognia, który go pożerał, pomimo że nie wiedział jeszcze, jakiego czynu się dopuści, Benszaalal nie przestał ani na chwilę obserwować swej towarzyszki. Chytrość mu doradzała czekać, aż twarz jej zdradzi, że może się ośmielić na wszystko.

Widziała jego ciemną rękę, wyciągającą się ku brylantom i przejął ją dreszcz wstydu, a nawet trwogi. Ale to przeszło, domyślała się, że to był ruch zupełnie naturalny, wywołany porównaniem, które uczynił. Pomimo tego jednak było w tej ręce coś, co ją uderzyło. Odgadł to i zaczął mówić wolniej, śpiewnie, jak poeta pod namiotem.

— Czy pani wie o tem? — powtórzył, zbliżając się do niej tak, że płaszcz jego dotykał jej sukni.

— Zwracam się do Mekki, kiedy się modlę o świcie, lecz zwracam się do pani, kiedy się modlę w nocy. A pani, czy zechce wysłuchać mojej modlitwy?

— Cicho — rzekła.

Lecz nie obraziła się, mówiła spokojnie. Ponieważ szła po raz ostatni nasycić się widokiem pustyni, nie było powodu, dlaczego nie miałby słuchać jej głosu. Jutro znowu rozpocznie swe życie z Crumpet; żal do męża przyczynił się także do większej pobłażliwości.

Spahis umilkł. Szli bardzo wolno, słyszała odgłos swych wysokich obcasów na twardej drodze i pomyślała o trotuarach paryskich, a następnie o bosych nogach spahisa na kamieniach nad rzeką i jak marzyła o tych stopach idących przez piaski pustyni, a obok nich widziała stopy kobiece.

Na chwilę puściła wodze swej wyobraźni. Przypuściwszy, że niemożliwe się stało. Przypuściwszy, że była silną, stanowczą, namiętną kobietą, a nie kapryśnem, lubiącem przyjemności, samowolnem, słabem stworzeniem! Przypuściwszy, że dała się porwać, że oszalała dla spahisa! Że puściła się pieszo w wielką podróż, że przeszłość bezpowrotnie została za nimi jak zrzucone brzemię; że pustynia była otwarta przed nimi i że się wmieszała w ciemno-skóry lud, żyjący na jej obszarach! Jakieby to było dziwne życie! Przez chwilę jej skrzydlaty kaprys rozkoszował się tym obrazem, bawił się nim, jak dziecko bawi się piłką. Pragnęła żyć w tym nowym dla niej świecie. Jej dawne życie skończyło się. Uczyniła najdziwniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek kobieta uczyniła. Byłaby przedmiotem rozmów w salonach Londynu, w buduarach Paryża, na wyścigach w Newmarchet i Ascot, na wrzosowiskach Szkocyi! Ale co to już mogło ją obchodzić? Co znaczyli dla niej jej dawni znajomi i przyjaciele? Ich życie już nigdy nie będzie ich życiem. Uwolniła się na zawsze od tyranii światowości i mody. Zwróciła się twarzą do niewzruszonego Wschodu, do kraju, który się nigdy nie zmienia!

Była tak bardzo pod wpływem tej fantazyi, że stała się prawie kobietą, o której myślała, a on, spahis, był jej panem.

A może niewolnikiem?

Zadając sobie to pytanie, spojrzała na Benszaala z wyrazem badawczym, a tak kobiecym i zarazem pytającym, że go zadziwił i dodał jej wdzięku, którego do tej pory brakło, wdzięku tajemniczości.

Znajdowali się tuż u wyjścia z wąwozu. Pustynia rozciągała się przed nimi. Stopy ich dotykały się jej prawie, a wiatr muskał ich czoła.

Benszaalal miał wrażenie, że okoliczności układają się dramatycznie, jakby kierowane przeznaczeniem. Trzy wizje — brylantów, pytających oczu i skąpanej w księżycowym blasku pustyni, której był synem — złączyły się dla niego w jedno. I to jedno musi być jego. Klejnoty, kobieta i pustynia — muszą być jego natychmiast.

Ciemna jego dłoń znów się wysunęła i zamknęła na ręku Lady Wyverne. Nie przemówił ani słowa, lecz ten uścisk przestraszył ją, mówił wyraźnie, że była w niebezpieczeństwie. Była to ręka rozbójnika, zarówno jak kochanka, ręka, która z równą łatwością a może i rozkoszą była zdolna rozszarpać jak i pieścić. I jego oczy spotkawszy się z jej oczami, odpowiedziały na zadane im pytanie z okrutną szczerością. Barbarzyńca się ukazał, kruszące cienką powłokę cywilizacyi, jak sztaba żelazna kruszy szklanną szybę.

Pustynia przyszła do Lady Wyverne i syn pustyni ukazał się, jakim był w istocie.

Uczuwszy uścisk jego dłoni, instynktownie się cofnęła. Druga ręka się wyciągnęła i chwyciła nie ją, lecz jej łańcuch brylantowy.

Cały człowiek odkrył się w tych dwóch błyskawicznych ruchach.

Kiedy delikatnie palce Benszaalala zacisnęły się na brylantach Lady Wyverne, poznała całą wielkość swego szaleństwa i powstał w niej wstręt obejmujący pustynię i tego człowieka. Tradycya, wygnana jej kaprysem, wróciła na swe dawne miejsce. Serce jej wołało o błogosławioną opiekę pospolitego życia, którego tak niedawno chciała się wyrzec i wstręt właściwy wielu ludziom białej rasy do ciemnych ras Wschodu nagle się w niej zbudził, równie silny jak u jej męża.

Spahis odczuł zaszłą w niej zmianę. Prawa jego ręka puściła jej dłoń i złączyła się z chciwą siostrzycą na klejnotach. Odrzucony kochanek złączył się z namiętnym rozbójnikiem.

Zaczął wydzierać brylanty.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ukryty pomiędzy skałami, przez kilka sekund, które mu się wydawały wiecznością, stał człowiek ze strzelbą na ramieniu, z palcem na cynglu. Od strzału powstrzymywało go tylko dziwne a niezwalczone wahanie. Nie wiedział, czy mierzyć w kobietę, czy w mężczyznę, których widział na białej drodze.

Podczas gdy czekał nieruchomy, jak otaczające go skały, kobieta odskoczyła od mężczyzny, który puścił jej rękę i chwycił za klejnoty.

Ukryty za skałami człowiek już się nie wahał. Wymierzył w spahisa, lecz zanim zdążył pociągnąć za cyngiel, rzuciła się na Benszaalala postać w jaskrawo zielonej szacie, ręce zaciśnięte na brylantach porwały łańcuszek, który je łączył i spahis zwalił się na ziemię z utkwionym między łopatkami nożem.

„Allah! Allah! Allah!" Rozległ się długi, głośny okrzyk.

Sir Clando zbiegł na drogę. Kiedy otoczył ramieniem żonę, okrzyk się powtórzył:

„Allah! Allah! Allah!"

Poczem przeszedł w jękliwe skomlenie, szalony morabut przykucnął obok ciała spahisa i począł starannie zbierać rozrzucone drogie kamienie, które iskrzyły się w księżycowym blasku, jak kryształy pustyni.

O wschodzie słońca mały arab szedł leniwie brzegiem rzeki, aż doszedł do miejsca, na którem zwykle siadywał. Usiadł, owinął się burnusem, wyjął z zanadrza trzcinową fujarkę, przyłożył do niej swe ciemne palce i zaczął grać słońcu swą zwykłą, kapryśną melodyę.

Koniec.

**OD ADMINISTRACYI.** Z rozpoczęciem III. kwartału przypominamy Szanownym P. T. Czytelnikom, że prenumerata „NOWOŚCI ILLUSTROWANYCH" wynosi:

| | |
|---|---|
| **kwartalnie** | **86·46 Mk.** |
| **do końca roku 1920** | **172 90 „** |
| **pojedynczy egzemplarz** | **7 — „** |

Przy tej sposobności zawiadamiamy, że w celu ułatwienia P. T. Czytelnikom nabywania „NOWOŚCI ILLUSTROWANYCH", tej jedynej dziś aktualnej polskiej illustracyi, przyznawać będziemy, począwszy od obecnego kwartału **zniżkę dwudziestoprocentową** P. T. Urzędnikom i Wojskowym niższych stopni, Profesorom, Nauczycielstwu, kształcącej się młodzieży, o ile **opłacą prenumeratę wprost w centralnej Administracyi „Nowości Illustrowanych" Kraków XV, ul. Kazimierza Wielkiego 95.**

Celem uregulowania nakładu, jak również uniknięcia przerwy w wysyłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. P. T. Czytelników o możliwie **jak najrychlejsze odnowienie prenumeraty.**

Guy de Téramond.

# Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłóm. Marya Toczyska).

37

— Cóż takiego?

— Spotkałem przypadkowo na ulicy kapitana z „Black Old Dog" i w ciągu rozmowy dowiedziałem się ku wielkiej mojej uciesze coś ciekawego o jego tajemniczym pasażerze. Mianowicie, opowiadając o jego niebywałej zręczności, wymienił firmę, skąd pochodził jego rewolwer i nawet zapamiętał jego numer.

— Co pan mówi?

— To był numer 12.334 i panie sędzio, to był ten sam numer, którym naznaczona była broń z której zamordowany został kapitan Fraskopelly! Wynika więc z tego, że zabójcą kapitana jest pasażer z Black Old Dog, tak, jak to utrzymywałem od początku.

— Rzeczywiście — zamyślił się sędzia — ma pan przedziwny węch policyjny, panie Lapipé, ale zanim dalej rozpatrywać tę sprawę będziemy, muszę tu raz jeszcze kazać przyprowadzić oskarżoną, może przecież zdecyduje się mówić.

Poszedł do drzwi, aby wydać rozkaz przyprowadzenia Zanetty Levasseur, lecz w tej samej chwili wszedł woźny i wręczył mu list. Pan Rodauet rozerwał spiesznie kopertę i czytał ze zdumieniem:

— „Dyrektor więzienia św. Łazarza ma zaszczyt donieść panu sędziemu śledczemu, że stosownie do jego rozkazu oskarżona Zanetta Levasseur została wypuszczona na wolność dnia dzisiejszego".

*Tajemniczy Nieznajomy.*

Śledztwo zorganizowane natychmiast wykazało oczywiście, w jaki sposób Zanetta uwolnioną została. Sędzia Rodauet był wściekły. Nie mniej przejęty tą sprawą był Lapipé. Po opuszczeniu gabinetu sędziego udał się bezzwłocznie do biura dyrektora policyi.

Wszedł tak zmieszany i blady, że dyrektor zapytał go zaniepokojony:

— Co się panu stało, panie Lapipé?

— Panie dyrektorze — odpowiedział Lapipé martwym głosem — przychodzę prosić o zwolnienie ze służby.

— Co znowu? żartuje pan chyba! Cóż za ważna przyczyna skłania pana do podania się do dymisyi po tylu latach zasłużonej pracy.

— Panie dyrektorze, jestem już za stary, żeby się bawić w Sherlocka Holmesa. Ja jestem ze starej szkoły! Dziś mordercy kpią sobie z ajentów policyi i wyprowadzają ich w pole, jak niedoświadczonych młokosów. Pan dyrektor wie, że miałem w ręce sprawę tego tajemniczego nieznajomego. Przyznaję, że nie czuję się już na siłach do dalszej z nim walki i wobec tego proszę o dymisyę.

— Panie Lapipé — odpowiedział na to dyrektor poważnie — coby pan pomyślał o żołnierzu, który ucieka z pola bitwy?

Lapipé zbladł. Mowa dyrektora podziałała na niego, jak policzek.

— No, no... pan się jeszcze zastanowi, nieprawdaż — ciągnął dalej dyrektor. — To tylko krótka chwila zniechęcenia. Za kilka dni, panie Lapipé, przyjdzie pan do mnie po nowe dyspozycye.

Lapipé nie wymówiwszy słowa, skłonił się i wyszedł. Szedł zamyślony, łamiąc sobie głowę nad sposobem pochwycenia tego nieszczęsnego człowieka, który już tyle razy potrafił mu umknąć z pod ręki i narazić na takie przykrości. Jeżeli miał liczyć na przypadek, to mógł czekać długo.

Rozmyślając w ten sposób, doszedł do ulicy Św. Jakóba. Ulica była natłoczona robotnikami, naprawiającymi bruk. Po jednej stronie stał szeroki rząd ciężarowych wozów, naładowanych klockami drewnianymi, ruch zaś na środku wstrzymany był sznurami, porozciąganymi w różnych kierunkach i przytwierdzonych do wysokich żelaznych drążków. Nagle silne okrzyki trwogi dały się słyszeć z górnej części ulicy, spadzistej bardzo i stromej w tem miejscu. Z góry, w największym pędzie, zesuwał się rower z urwanym hamulcem, na którym siedział przerażony jakiś człowiek, nie mogący powstrzymać rozhukanej swojej maszyny. Nieszczęśliwemu groziło w każdej chwili rozbicie głowy o pierwszy napotkany pal żelazny lub wóz zastępujący drogę.

Lapipé stanął tak, jak i wszyscy, przyglądając się tej scenie, gdy wtem przechodzeń jakiś raptem podjął z ziemi jeden ze sznurów porzuconych przez robotników i zarzucił go zręcznie jak lasso na pędzący rower, zatrzymując go na miejscu. Z piersi ajenta wybiegł okrzyk!

— Ta zimna krew... ta zręczność! to mógł być tylko on! tajemniczy nieznajomy! Tym razem nie umknie mi już!

Lapipé jak kot dziki skoczył ku nieznajomemu.

— Nareszcie trzymam cię! — zawołał zwycięsko, chwytając go za ramię. — Jestem inspektorem policyi i rozkazuję panu iść za sobą.

— Doskonale się składa — odparł zaczepiony, patrząc śmiało w oczy inspektorowi. — Właśnie szedłem do dyrektora policyi.

— — — — — — — — — — — — — —

Wchodząc do gabinetu dyrektora, Lapipé miał zadowoloną, tryumfującą minę. Przyszła na niego godzina odwetu.

Dyrektor przyjął ich z niemałem zdziwieniem.

— Proszę o pozwolenie mówienia przed panem Lapipé — odezwał się nieznajomy. — Obiecuję mu w zamian, że jego słuszna ciekawość zostanie zaspokojona.

W krótkich, zwięzłych słowach Paweł de Vareilles opowiedział przejścia swojego życia. Dyrektor i Lapipé słuchali go ze zdumieniem.

— Jednakże — zauważył w pewnej chwili Lapipé — jesteśmy pomimo tego wszystkiego zmuszeni widzieć w panu mordercę z ulicy Blois, z hotelu książąt Portugalskich...

— Musiałem bronić swojego życia, przeciw nędznemu rzezimieszkowi hotelowemu, jak to panowie doskonale wiedzą — odparł Paweł de Vareillés. — Czyż to nie jest zgodne z prawem?

— Oczywiście — odpowiedział dyrektor policyi, nie czynimy więc panu z tego zarzutu.

— A morderstwo barona Korpstraussa?

— Oh! co do tego, jestem zupełnie spokojny. Zemściłem się na nędznym szpiegu, który okrył mnie hańbą. Sumienie nie wyrzuca mi nic zgoła, a sądzę, że sędziowie będą pod tym względem pobłażliwszi dla mnie, niż pan panie Lapipé.

— To możliwe, ale kto panu nadał prawo zamordowania kapitana Fraskpelly'ego? — odd

ałem tym sposobem usługę ojczyźnie. Ten łotr był także szpiegiem szkodliwym. Jego ohydne postępowanie względem mojej narzeczonej dało mi doskonały powód do rozprawienia się z nim. Nic z tych szpiegowskich historyi nie przedostało się do ucha publicznego, bo zdaje mi się, że podobne sprawy, grożące niebezpieczeństwem krajowi, lepiej jest zachować w tajemnicy. Czy nie jest to również zdanie pana, panie dyrektorze.

— Zeznania pana nie wyjdą poza próg mojego gabinetu — odpowiedział na to zapytany.

— Adwokat mój złożył wczoraj wszystkie moje akta w ręce ministra sprawiedliwości, mam więc nadzieję, że rehabilitacya moja nastąpi szybko i pozwoli mi nadal żyć z głową podniesioną. Co zaś do tych planów, które udało mi się szczęśliwie dostać do ręki odesłałem je do miejsca pewnego, pięćdziesiąt zaś tysięcy otrzymane za ten targ haniebny, wręczyłem dyrektorowi kasy ubogich, oto poświadczenie. A teraz — dodał Paweł, zwracając się do inspektora — pozostaje mi tylko przeprosić pana Lapipé za troski, jakie miał z mojego powodu, lecz stało się to z mojej winy. Byłem tylko ofiarą nieszczęśliwych okoliczności i nie wątpię, że zechce wyciągnąć do mnie rękę do zgody. Panie dyrektorze — dodał jeszcze — jestem do dyspozycyi pana, aż do dnia, w którym proces mój zakończony zostanie, bo potem...

— Czy zamierza pan opuścić Francyę? — zapytał dyrektor.

— Tak. Powrócę do Ameryki. To, co zastałem tutaj po 20 latach nieobecności, nie pociąga mnie do tego stopnia, bym dla tego powodu porzucać miał życie swobodne wśród preryi amerykańskich. A przytem nie odjadę sam, Zanetta Levasseur zgodziła się pozostać moją żoną i osłodzić mi dnie pracy i osamotnienia. Tym sposobem daje mi najwyższe szczęście o jakiem marzyć dotąd nie śmiałem i pozwala spłacić wobec siebie dług święty, zaciągnięty jeszcze przed latami.

Pożegnany serdecznie przez dyrektora policyi Paweł wyszedł, a Lapipé, który jeszcze nie mógł ochłonąć ze zdumienia, mruknął za nim z niezadowoleniem.

— Gdybym był wiedział, że cała ta historya zakończy się pospolitem małżeństwem, nie byłbym u dyabła wcale wtykał nosa do niej.

(Koniec).

## Nasze nowe powieści

W myśl zapowiedzi, ogłoszonej przed kilku tygodniami, rozpoczynamy w najbliższym numerze naszego pisma druk oryginalnej, sensacyjnej powieści p. t.:

### „Gorączka złota"

Osnuta na tle obecnych stosunków, wytworzonych następstwami światowej wojny, wyszła ona z pod pióra jednego z najwybitniejszych sił na niwie powieści obyczajowej, zaciekawi też niewątpliwie liczne grono naszych Czytelników.

**„Gorączka złota"** przedstawia losy mieszczańskiej rodziny, zaślepionej żądzą zdobycia jak największego majątku i w tem widzącą główny cel swego życia. Napisana barwnie, ze znajomością stosunków, utrzymuje w napięciu uwagę czytelnika do ostatniego rozdziału. Śmiało rzec można, że jest to fotografia z życia codziennego, zdjęta z natury z prawdziwem mistrzowstwem. Przedstawia też społeczeństwo powojenne we właściwych barwach, bynajmniej nie przejaskrawionych, są tu ludźmi, nie karykaturami. Czytelnikowi wydaje się, że nie czyta, lecz patrzy na wszystko własnemi oczyma, takich bowiem rodzin i ich losów po wojnie coraz więcej.

Również pojawi się na szpaltach *Nowości illustrowanych* doskonałe tłómaczenie nadzwyczaj ciekawej powieści Matyldy Serao p. t.:

### „Ucięta ręka"

Autorka jej, to chluba literatury włoskiej; utwory jej cieszą się zasłużonem uznaniem w kraju, tłómaczone są też na wszystkie języki cywilizowanego świata.

I tu fabuła interesująca, a tłómaczenie nader staranne i poprawne, uwydatnia całą piękność naszego języka. Wybitna autorka znalazła i odpowiedniego tłumacza, co razem złożyło się na całość, mogącą zadowolić najdalej posunięte wymagania miłośników literatury pięknej.

## Kurs ochroniarek w Krakowie.

Kurs ochroniarek Górnoślązaczek w Krakowie, zorganizował z ramienia Towarzystwa obrony kresów zachodnich, znany z działalności społecznej prof. Henryk Pachoński, sekretarz tegoż Towarzystwa. Jako kierownik tego kursu dobrał grono, składające się przeważnie z pań nauczycielek państwowego Seminaryum naucz. żeńskiego i rozpoczął pracę od 1 marca b. r. nad 43 uczestniczkami, znanemi obywatelstwu krakowskiemu ze swych strojów i zawsze skromnego i poważnego zachowania się podczas ich czteromiesięcznego pobytu. Praca ciężka w początkach, zwłaszcza w kształceniu języka polskiego, ćwiczeń praktycznych w ogródku dziecięcym, uwieńczona została pomyślnym wynikiem dzięki gorliwym staraniom pań: Chrzanowskiej (język polski), Mędrzyckiej (pedagogika ćwiczenia praktyczne) dr Wisłockiej (hygiena), Dymkowej (rysunki i oprowadzanie po zabytkach kultury), Karwatowej (śpiew), Mayówny (gry i zabawy), Rechowiczowej (roboty), X Budy (religia), Pachoński (historya i geografia Polski), zarazem dzięki prawdziwie mrówczej pracy i wytrwałości naszych rodaczek. To też przy egzaminie pod przewodnictwem dyrektora Dobrowolskiego wszystkim przyznano świadectwo na mistrzynie ogródka froeblowskiego.



**Kurs ochraniarek w Krakowie**: X. Jan Rzymełka X. Misyonarz, pochodzący z Górnego Śląska, przewodniczący Tow. obrony kresów zachodnich.

Kierownik kursu prof. Pachoński zwiedził z kursistkami ochronki, prowadzone przez SS. Miłosierdzia i SS. Felicyanki i tam na miejscu wykazywał różnice między ogródkiem froeblowskim a ochronkami. Pierwszy pobyt w ochronce przy ul. Kopernika, nader umiejętne, metodycznie uchwycone prowadzenie lekcyi, okraszone śpiewami narodowymi ba nawet jednym górnośląskim, wywarł na wychowankach tak wielkie wrażenie, że wielu z nich łzy serdeczne padały.

W czasie pobytu w Krakowie były kilkakrotnie w teatrze miejskim i powszechnym na koncertach, odbywały pod opieką p. Zofii Pachońskiej wycieczki do Wieliczki, Kalwaryi, Czerny i t. d.

Tow. obrony kresów zachodnich, ul. Retoryka 5, łożyło przez cały okres ich pobytu na wykształcenie i utrzymanie dzięki funduszom, zebranym od rodaków.

We czwartek ubiegłego tygodnia w domu przy ul. Koletek odbyło się pożegnanie, w którem wzięli udział: X. dr Korzonkiewicz, gen. Stiller, członkowie grona nauczycielskiego i Zarządu Towarzystwa. W gorących i serdecznych słowach żegnał wychowanki kierownik, wskazywał ideały, program pracy, ich wielkie zadanie odchwaszczania z działalności germańskiej zagonu ojczystego, rzeźbienia z dziatwy dzielnych przyszłych obywateli jednej wielkiej i złączonej Matki Ojczyzny. Przemawiali: X. Rzymełka, X. dr Korzonkiewicz, X. prof. Buda, Dobrowolski. W imieniu ochroniarek serdecznie dziękowały p. Biskupkówna i Błaszczykówna, która w zorganizowanym kursie, jako gminie szkolnej była wybrana przez koleżanki przewodniczącą.

W piątek wyjechały pod przewodnictwem X. Dembińskiego do Częstochowy, zaś w poniedziałek rozjadą się do swych miejsc rodzinnych. Dzielnym wychowawczyniom życzyć należy jak najobfitszych planów ich przyszłej pracy.

## Agitacya antipolska na Górnym Śląsku.

W walce na Górnym Śląsku, zwłaszcza na terenie plebiscytowym, nie przebierają Miemcy w środkach, starając się za wszelką cenę zohydzić Polskę, przedstawić ją w jak najczarniejszych kolorach i wykazać, co czeka ludność tamtejszą po odpadnięciu od Prus.

Agitatorów rządowych i artystów całe falangi, a nie żałują swych szczęk, gdyż Berlin za to opłaca ich wysiłki. Dokąd nie dotrze żywe słowo, tam je zastępuje agitacyjna literatura, rozrzucana po całym kraju w wielkiej obfitości. Wybitną rolę grają tu wydawnictwa obrazkowe, plakaty i widokówki, na płodzenie których wysilają niemieccy „artyści“ swe mózgi, nie mogą przecież zdobyć się na coś nowego ale stale wracają do dawnych motywów, znanych z antipolskiej kampanii z „Simplicismussów“ i podobnych piśmideł.




**Agitacya antipolska na Górnym Śląsku**: Widokówka, wydana przez Niemców, mająca przedstawiać, co czeka Ślązaków po przyłączeniu do Polski.

Tego rodzaju walkę z Polską prowadzi na Wschodzie rząd sowietów. Znane są powszechnie pociągi księgarnie Trockiego, zasilające kresy agitacyjną „literaturą“.

Jakże wobec tego zachowuje się Polska?... Bardzo spokojnie!... Przyjmuje to do wiadomości, to też i na tem się kończy.

Zdrowy rozum mówi, że powinno się odpłacać równą miarką, a chyba plastyczne przedstawienie „germańskiej kultury“ i „raju bolszewickiego“ dałoby naszym artystom dość pola do popisu. Niestety



**Kurs ochroniarek w Krakowie**: Prof. Henryk Pachoński, znany działacz społeczno-narodowy, kierownik kursu ochraniarskiego, sekretarz Tow. obrony kresów zachod.

nasi panowie artyści zajęci są czem innem. Jeden niema czasu, drugi „nie robi na zawołanie“ i t. d. Gdy sobie przypomną z czem się do nich zwrócono, tymczasem będzie już po plebiscycie!

Widokówka agitacyjna, którą w niniejszym numerze reprodukujemy, rozrzucana jest masowo po polskich terenach plebiscytowych i zaopatrzona na pisem: Ślązacy, strzeżcie się! zbliża się śmierć waszego dobrobytu“.

## Wycieczka seminarzystów zamojskich w Krakowie.

Wycieczki krajoznawcze to nadzwyczaj doniosły środek pedagogiczny. Żaden najbardziej nawet pouczający wykład, żadna lektura nie zastąpi tego, na co patrzą oczy.

Nic też dziwnego, że nowa metoda nauczania wielką wagę przykłada do tego rodzaju wycieczek. Organizuje się je zwłaszcza w okresie przedwakacyjnym, jako uzupełnienie i wypunklenie całorocznych studyów.

Do najbardziej pouczających i każdy młody umysł najbardziej nęcących wycieczek stanowi zwiedzanie Krakowa i jego pamiątek, gdzie śmiało rzec



**Wycieczka seminarzystów zamojskich w Krakowie**: Grupa uczestników wycieczki

zajęcia, dają nadto zbliżające się międzynarodowe igrzyska Olimpijskie w Antwerpii.

Krakowskie gniazdo w pracach przygotowawczych do igrzysk bierze też żywy udział. Prócz innych działów sportu polskiego, których reprezentanci wyjeżdżają do Antwerpii, odbywają się tutaj stałe ćwiczenia w zakresie lekkiej atletyki pod umiejętnem kierownictwem druha Hamburgera.

Jak wykazują dotychczasowe wyniki, osiągnięto cel zamierzony. W parze szło tu umiejętne kierownictwo i pilność oraz zamiłowanie do sportu uczestników kursu.

## Popis kursu operowego krak. Instytutu muzycznego.

Za inicyatywą p. Kl. Czop-Umlaufowej, kierowniczki art. Instytutu muzycznego powstał przy tejże uczelni w roku bieżącym kurs operowy, prowadzony przez artystkę op. p. Kliszewską. Przed kilkoma dniami odbył się w sali teatru im. Słowackiego pierwszy popis tegoż kursu przynosząc w umiejętnie zestawionym programie szereg wyjątków z Halki, Trubadura, Toski, Cyganeryi itd. P. Kliszewska, znana, świetna artystka scen polskich, po długoletniej, pełnej sukcesów pracy scenicznej — poświęcając się obecnie pracy dydaktycznej, wykazała niezbicie, że w tym kierunku nie może mieć współzawodnictwa. Popis jej szkoły był imponującym sukcesem doskonałej metody uczenia.

## Festyn sokoli w Podgórzu.

(Do illustracyi na str. 4).

Festyny, urządzane przez „Sokoła“ podgórskiego, mają już wyrobioną reputacyę jeszcze z czasów, gdy podgórska drużyna zbierała w ten sposób mozolnie fundusze na budowę swego gniazda. Dzień festynu, to było święto dla Podgórzan, a dążyli nań chętnie i krakowianie, zwłaszcza, że Park miejski, założony przez ś. p. dyrektora Bednarskiego, to prawdziwie uroczy zakątek, skąd czarujący widok roztacza się na Kraków i okolicę, z drugiej zaś strony patrząc na złomy skał wapiennych, ma się wrażenie, że się jest gdzieś daleko od nadwiślańskich równin.

Druhowie podgórscy znani też byli z gościnności, komitet dokładał zaś wszelkich starań, aby festyn wypadł jak najlepiej i przyniósł jak największy dochód.

W ubiegłym tygodniu odbył się w podgórskim Parku im. Bednarskiego wspaniały festyn podgórskiego „Sokoła“ z nadzwyczaj urozmaiconym programem i licznemi niespodziankami. Pogoda dopisała, napływ publiczności był też tłumny, zwłaszcza, że była to ostatnia przedwakacyjna zabawa.

W programie główny nacisk położono na ćwiczenia gimnastyczne, które wypadły wspaniale i zasłużone pochwały i oklaski. skierowano pod adresem kierownika ich, niestrudzonego druha Nowaka, jednego z najczynniejszych członków podgórskiego gniazda.

Z pięknego festynu podajemy dwa zdjęcia: rej kolarzy i ćwiczenia gimnastyczne dziewcząt.



Popis kursu operowego krakowskiego Instytutu muzycznego. Kierownicy kursu: p. Kliszewska i Wallek-Walewski w otoczeniu uczniów i uczennic.

## Wyścig kolarski Kraków-Częstochowa.

(Do illustracyi na str. 4).

Przygotowania do igrzysk Olimpijskich, jakie tego roku mają się odbyć w Antwerpii, a w których Polska weźmie po raz pierwszy oficyalny udział jako samodzielne państwo, postępują raźno naprzód.

W różnych centrach sportowych naszego kraju wre gorączkowa praca; training uprawiany jest na wielką skalę, aby godnie wystąpić przed tysiącami widzów, przybyłych na te niezwykłe popisy z całego niemal świata.

Ochoty i zapału w tym kierunku u nas nie brak, pewną trudność przedstawiają jedynie strony finansowe przedsięwzięcia. Ale i one dadzą się usunąć przy dobrej woli ogółu czynników miarodajnych i jednostek, którym zależy na tem, aby polski sport przedstawił się w jak najkorzystniejszem świetle.

Jednem z tych przygotowań, a raczej rodzajem egzaminu z nich, był wyścig kolarski na przestrzeni Kraków-Częstochowa (67 kilometrów) urządzony w ubiegłym tygodniu przez Wydział kolarski P. K. I. O. przy współudziale Towarzystw: krakowskiego, częstochowskiego, lwowskiego, warszawskiego i sosnowickiego.

Startowali: Wiktor Höchsman, Franciszek Nieć, Ignacy Gnojek, Henryk Chytkowicz, Tadeusz Sikorski i Norbert Janik.

Bieg rozpoczęto o godz. 3 32 popoł. Pierwszy stanął na oznaczonym punkcie Wiktor Höchsman, przebywając powyżej określoną przestrzeń w 2 godz. 8 min. Pomimo przeszkód, jak przejazd przez Mstów spowodowany złym stanem bruków, wynik wypadł nadzwyczaj pomyślnie, przeciętnie bowiem zwycięzca biegu przebywał około 32 kilometry na godzinę. Pozostali współzawodnicy przybyli w następującym porządku: Gnojek, Chytkowicz, Janik i Nieć. Jeden z uczestników wycofał się z biegu.

Jak się dowiadujemy, do biegu olimpijskiego stanie jako starter z Polski p. Eugeniusz Weiss z Krakowa.

## Zamach skazańca na przewodniczącego trybunału.

(Do ilustracyi tytułowej).

Skutki światowej wojny, prowadzonej w imię cywilizacyi i wolności, wskazują tylko na to, że cel był chybiony. Po wojnie nic się nie poprawiło, owszem, świat w swym kulturalnym pochodzie cofnął się o całe lat setki. Kraj zniszczono ogniem i mieczem, część ludności uległa takiemu zdziczeniu, że poprostu patrząc na jej czyny, zastanawiać się trzeba: ludzie to czy zwierzęta? Niema dla nich nic świętego, jedynym ideałem, do którego dążą, nie zważając na środki, to dobrobyt własny, choćby nawet z cudzą krzywdą.

I nic w tem dziwnego, że w tych warunkach zapełniają się coraz bardziej kryminały, a Sprawiedliwość karzącem swem ramieniem czyści naszą niwę społeczną z tych powojennych elementów.

Kara, podyktowana przed sąd, ma być nie tylko pokutą za winę popełnioną, ma także być nauką na przyszłość. Większość skazanych przyjmuje ją też z poddaniem, uznając, że słusznie na nią zasłużyli.

Są jednak zwyrodniałe osobniki, które chciałyby, aby zbrodnia uszła im bezkarnie, a wyrok sądu potępiający uważają za krzywdę i nawet czynnie przeciw niemu demonstrują.

Podobny wypadek miał miejsce w ubiegłym tygodniu na sali rozpraw sądu przysięgłych w Tarnowie. Radca sądu Agath ogłosił właśnie wyrok na podstawie werdyktu przysięgłych, gdy w tem nagle jeden z oskarżonych zerwał się z ławy, błyskawicznym ruchem wyrwał szablę z pochwy dozorcy więziennego i rzucił się z nią na przewodniczącego... I kto wie, jaki sprawa byłaby wzięła obrót, gdyby nie przytomność umysłu drugiego oskarżonego, który widząc co się dzieje, w krytycznej a decydującej chwili przeszkodził wykonaniu morderczego zamachu. Jedna sekunda, a byłoby już zapóźno!... Dla tego rodzaju bandyty, nie umieją cego uszanować powagi świątyni Sprawiedliwości, żadna kara nie powinna być zbyt ciężką!

## Rozwiązanie zagadek z Nru 25.

**Logogryf:** D. Dom, Abo, era rym, Ito, ryś, eta, Noe, ń

**Kwadrat magiczny:** Cisa, Iram, Sund, Audy.

**Okienko:** Nerwi, Rohak, iskra.

**Logogryf:** Sokół, barka, stuła, komar, iły, Don, kowal, sosna, Mekka, Mnich.

**Zadanie do uzupełnienia:** Iwan, wada, Elba, Ikar, sala, Ezaw, Alba, Cisa, oczy, chór, owoc, Sącz.

**Zadanie do uzupełnienia:** Ems, ara, era, San, Iza, nos, Sas, k s, lis, Jan, rów, wąs.

**Dobre rozwiązania nadesłali pp.:** J. Jaworski Lwów, S. Sokołowski Kraków, M Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, M. Hanasiewicz Stanisławów, K. Koźmiński Warszawa, M. Radzińska Sanok, M Balicka Krosno, M. Kot Przemyśl, M. Sawicka Lwów, . Lipski Wiedeń, K. Wierzbicki Tarnów-W. Raczyński Kołomyja, S. Zajączkowski Rzeszów, H. Gąsiorowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, S. Kołomłocki Stryj. K. Radziszewski Warszawa, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, M Zak Kraków, M. Kamiński Zakopane, M. Kozłowski Przemyśl. M. Kowalska Kraków, J Nowak Drohobycz, K. Fijałkowski Kraków, L. Gartner Rozwadów, H. Dąbrowska Warszawa, W. Lange Toruń, H. Gruszczyński Tarnów, J. Zawadzki Kraków, H. Frasiński Bochnia, . Szczudłowski Jarosław, H. Maciejowski Winnica. J. Jastrzębski Lwów, J. Tomaszewski Biała, K. Balicka Tarnopol, J. Czernecki Jasło, Z. Sperling Lwów, M. Kaczorowski Kraków, J. Roland Kraków, M. Hiller Lwow, R. Korda Lwów S. Zakrzewski Sandomierz, H. Waligórska Płock, J. Remer Sambor, B. Wiśniewski Łańcut, K. Borkowski Kraków, J. Gross Bochnia, Z. Malinowski Poznań, W. Rogalski Przemyśl, S. Nowacki Lwów, W. Raczyński Kraków, K. Łempicki Kraków, S. Samlicki Lwów, H. Weigel Jarosław, L. Bogucka Warszawa, S Hoffmann Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, M. Lewińska Stanisławów, J. Boczarski Lwów, M. Stanisławski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, T Nowicki Kraków, T. Ostrowski Kraków, S. Rosenbaum Rzeszów, S. Krzyżanowski Warszawa, M. Jasińska Lwów, J. Sikorski Końskie, T. Tokarski Stanisławów, K. Werner Brynica.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) M. Żak Kraków, książka), 2) T. Tokarski Stanisławów (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

**Pod znakiem aprowizacyi:** Uczesnicy uroczystości poświęcenia urządzeń motorowych do rąbania drzewa w krakowskich zakładach aprowizacyjnych.

## Od wydawnictwa.

**Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.**

można, ka
wiąże się
To też,
ków od w
z bliższych
znać serce
lonów.
W ost
kowie wy



Dr

nanc
prof
ośw
fach
kow
dals
cze

nuj
ch
do
zu
ze
sz

agadek prze-
W. rzy-
czkę papieru

## TELI".

powietrze, jeżeli
dla tych, których
występy kome-
erunkiem artysty

zespoły, które
nie Niemcy lub
wyrastali na
ków, w wieku
w liczbie ośm
żniają się pp.
oklaski. Kie-

a popołudniu

wa sprawiła
nie trzeba.
omedyę Ed.
i „Młynarz
ny do tego
Lilipuci p.
nteligencya.
rawie Pol-
nych gości

e Lwowie
ych miast
kopolsce.